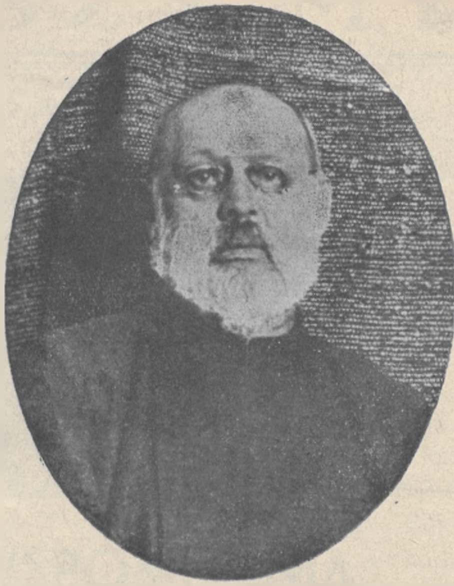


1935.
Styczeń-Luty

Rok IV.
Numer 1.

NASZA MYŚL

SZERZY KULT
BRATA ALBERTA

OMAWIA ZAGADNIENIA
ZWIĄZANE Z IDEOLOGJĄ
DZIEŁA BRATA ALBERTA

PRZYNOSI WIADOMOŚCI Z
DOMÓW ALBERTYŃSKICH.

NASZA MYŚL



Ks. Dr. Tadeusz Pomian Kruszyński.

MOJE WSPOMNIENIA

O BRACIE ALBERCIE jako o człowieku i artyście.

Brat kwestarz albertyński, mój znajomy jeszcze z czasów pobytu w krakowskiem Seminarjum, prosi o napisanie artykuliku. Rozumie się, że napiszę nieco o Bracie Albercie, do którego dzieła odnoszę się z najwyższem uznaniem, a nadto zajmuję się z zawodu sztuką kościelną. Brat Albert przed założeniem swego zgromadzenia był malarzem. Te kilka szczegółów mogą stać się ciekawemi przyczynkami do życiorysu tego z wszech miar niezwykłego człowieka Bożego.

Babka moja Róża Kruszyńska, jak i ciotka Józefa, znały pana Chmielowskiego jako zdolnego, młodego, wesołego malarza. W ich domu w Krakowie gromadzili się wybitni artyści, do częstych gości należał Jacek Malczewski, Strojnowski, rzeźbiarze Gojski i wielki twórca pomników Jadwigi i Władysława Warneńczyka, mieszkający stale obecnie w Rzymie, Antoni Madeyski. — Bywali też wybitni uczeni, jak Karol Potkański, Napoleon Cybulski, Zygmunt Balicki, młody jeszcze Feliks Kopera i t.d. Pan Chmielowski był gościem tem więcej pożądanym, że choć urodził się w pobliżu Krakowa, pochodził z rodziny osiadłej na dalekiem Podolu, babka zaś moja była z Ukrainy i najchętniej otaczała się kresowiakami. Śp. Adam

Konopka właściciel Modlnicy pod Krakowem, opowiadał mi też o młodych latach wesołego, ogólnie lubianego malarza Chmielowskiego, co do którego nikt nie przypuszczał, że może zostać założycielem zgromadzenia zakonnego. Kraków dzięki swobodzie, jaką cieszył się w wielonarodowościowem państwie austrjackiem, był ogniskiem polskiej sztuki i nauki. Tak wybitni artyści, z Juljuszem Kossakiem i Matejką na czele, jak i swoboda rozwoju polskiej nauki, przyciągała do naszego miasta ludzi chcących się kształcić naukowo czy artystycznie, a połowę uczniów naszych szkół wyższych stanowiła młodzież z pod rosyjskiego zaboru. Dziś już rychło zapomniano czem był dla całej Polski Kraków ze swemi pamiątkami przeszłości i ze swemi szkołami i jakby na tem sprawa polska ucierpiała, gdyby nie było tak ważnego duchowego środowiska. Wybitni cudzoziemcy, zwiedzający dziś Polskę, jednogłośnie oświadczają, że nie inne miasto, ale Kraków jest jej prawdziwem sercem.

Opowiadała mi babka, że raz niespodzianie przyszedł p. Chmielowski w szarym habicie zakonnym. Myślała, że to uczynił dla żartu w czasie zapust i serdecznie się uśmiała, lecz on wyjaśnił swe postanowienie, a dalszy przebieg jego działalności dobrze jest wszystkim znany.

Kiedy byłem w gimnazjum i krakowskiem seminarjum duchownem, widywałem Brata Alberta w Zakopanem, tak w kaplicy przy klasztorku na Kalatówkach, jak i w domu pani Marji Dębowskiej, przyjaciółki mej ciotki. Tu spotykał się on z malarzem, twórcą tak zw. stylu zakopiańskiego, Stanisławem Witkiewiczem i z Karolem Potkańskim. Posługiwał u p. Dębskiej góral, stary Gandara, niegdyś zamożny gazda, którego rodzina tak skrzywdziła, że stracił całą ojcowiznę i dostał lekkiego zboczenia umysłowego. Pani Dębowska, osoba wielkoduszna trzymała go z litości. Raz Stanisław Witkiewicz wymalował portret Wojciecha Roja, zakopiańskiego gazdy i przewodnika, towarzysza niegdyś górskich wypraw odkrywcy Zakopanego, prof. Tytusa Chałubińskiego i Witkiewicza. W starszym wieku przestał on chodzić po górach i zajął się budową domów w Zakopanem. Był on jednym z ostatnich górali, którzy nosili długie włosy, za mej pamięci już całkiem siwe. Portret był doskonały. Właśnie byłem raz u pani Dębowskiej, gdy Brat Albert w towarzystwie Witkiewicza

i Karola Potkańskiego oglądał portret i był nim zachwycony. Prosił żeby zawołano Gandarę, rad przekonać się, czy rozpozna on, kto to ma być. Ten w swej gwarze góralskiej odpowiedział z niechęcią i ku radości wszystkich obecnych: „A ktos by beł, dyć to Rojsko! Chodzi se między panów, sadzają go do stoła kieby Pana nie gorola, a ty tu cłeku wodę nos, drzewo rąb, a żryć ci nie kcom doć". Pani Dębska była zawstydzona, że Gandara ją oskarża o skąpstwo, ale Brat Albert i obecni serdecznie się uśmiali, a p. Potkański dał coś Gandarze na dożywienie.

W tym czasie szedłem raz do Kuźnic z panią Jankowską z Warszawy, kobietą bardzo wykształconą, już starszą, pochodzącą ze starej ewangelickiej rodziny. Z góry od strony Kuźnic nadjechał swym małym wózeczkiem Brat Albert, który jako chory na nogę chodził z trudnością. Zobaczywszy go po raz pierwszy, zapytała zdziwiona pani Jankowska, kto jest ten zakonnik o tak wybitnie inteligentnej twarzy. Opowiedziałem jej o dziejach Brata Alberta i o jego działalności. Choć jako ewangeliczka była uprzedzona do urządzeń katolickich, przyznała, że jest to człowiek nadzwyczajny.

W Zakopanem miał willę „Oksza" hr. Kęszycki. Ten darował raz Albertynom worek mąki. Przełożony w Zakopanem brat Józef, nie chciał go przyjąć, twierdząc, że sprzeciwiałoby się to prawdziwie franciszkańskiemu ubóstwu ale umówił się, że co pewien czas będzie przychodził po kwartę mąki z tego worka. Gdy przyjechał Brat Albert, roześmiał się z pomysłu brata Józefa i kazał zabrać cały worek. Początkowo Albertyni umieścili się w lesie na Kalatówkach nad Kuźnicami, w miejscu darowanem im przez hr. Władysława Zamoyskiego, właściciela Zakopanego, a później zbudowali dom znacznie wyżej, tamten zaś odstąpili siostrom. Miałem sposobność podziwiania w tym wyższym domu sposobu „centralnego ogrzewania" celek braci, pomysłu samego Brata Alberta. Wzdłuż wąziutkiego korytarza ciągną się celki braci tak szczupłe, że każda mieści tylko łóżko, umywalkę i jeden stołek. Pod łóżkiem zauważyłem krążek w wyciętym w podłodze otworze, opatrzony uchwytem. Brat Józef objaśnił mię, że jest to sposób ogrzewania celek. Pod celkami znajduje się obszerna jadalnia, zarazem izba zebrań, opalana wielkim piecem. Kiedy otworzy się krążek pod łóżkiem, ciepłe powietrze przedostaje się z dołu i ogrzewa celkę. c. d. n.

NA BOŻE NARODZENIE.

W ostatnich dniach ustępującego roku święcimy pamiątkę wielkiej chwili Bożego Narodzenia. Święcimy ją zazwyczaj wesołą zabawą, pasterką, śpiewaniem kolend, jasełkami i w inny sposób, zależnie od miejsca, okoliczności, czy warunków materjalnych. Byli jednak ludzie, którzy wielkością swego umysłu i seraficką miłością serca zdołali zgłębić tajemnicę pierwszego kroku Chrystusa na ziemi i dopatrzeć się w nim ważnego wskazania i głębokiej myśli, a którą sami w większym czy mniejszym stopniu starali się zrealizować. Do nich należą: św. Franciszek z Assyżu, św. Wincenty a Paulo, św. Jan Bosko, a z naszych rodaków Brat Albert, którego współcześni narówni z tamtymi stawiają. Z jego też życia pragniemy podkreślić kilka momentów w związku z obchodem wielkiego święta miłości i pokoju.

„Z nieba wysokiego Bóg stąpił na ziemię". Za przykładem najdoskonalszego Mistrza poszedł Brat Albert, który z pobudek bardzo szlachetnych opuszcza wysokie salony możnych, a wstępuje do stokroć gorszej od betlejemskiej szopki, ogrzewalni krakowskiej, schronienia podówczas wszelkiej nędzy wielkiego miasta.

Podobnej nocy grudniowej jak betleemska zetknąwszy się ze smutną rzeczywistością umarł dla świata Adam Chmielowski, a począł żyć wyłącznie dla ubogich Brat Albert. Być może, że punktu wyjścia jego wielkiego przełomu duchowego należy szukać w przykładzie Bożego Narodzenia, zwłaszcza, że Brat Albert odznaczał się szczególniejszem nabożeństwem do Dzieciątka Jezus.

Jak o św. Franciszku wiemy, że był twórcą przepięknego zwyczaju jasełek, tak o Bracie Albercie opowiadają, że pisał i urządzał po przytuliskach jasełka i ustawiał po kaplicach figurki Boskiego Dzieciątka tak, że w każdym domu albertyńskim się znajdowały.

Wreszcie dziwnym zbiegiem okoliczności, czy cudownym zrządzeniem Boga umarł Brat Albert w samo święto Bożego Narodzenia. Podobno modlił się gorąco o tą łaskę i dziwnie został wysłuchany. Dlatego dzień 25 grudnia jest dla nas podwójnie wielki.

W przededniu wielkiej chwili, powodując się wielkiem przykazaniem Boga, przykładem Brata Alberta i głęboko odczutą troską o dobro i wielkość naszej Ojczyzny, takie mamy dla wszystkich życzenie: więcej miłości w narodzie, więcej Braci Albertów w społeczeństwie!

Oby Boskie Dzieciątko za wstawiennictwem się Swej Matki, a Królowej Korony Polskiej, wznieciło na niwie polskich serc wielki płomień miłości bliźniego i ofiarności, jak



Dzieciątko Jezus Pragskie ulubiona figura Br. Alberta

u Brata Alberta, bo Polska uboga i bezdomna czeka i upatruje pomocy. Świadczenia na ten cel społeczeństwa rozwiązują połowicznie tylko bardzo ważne zagadnienie, bo rzesze bezdomne i biedne prócz chleba oczekują tego, co im dał Brat Albert, to jest samego siebie. On dobro bliźnich przełożył nad piękno, nad sztukę.

Rzesze wołają: „Panem et cordem“. O sercu dla biednych niech nam przypomina polski Samarytanin i to daj Boże jak najprędzej z wysokości ołtarzy, dokąd staraniem rodaków powinien być wyniesiony dla swej wiary i miłości.

Noc Wigilijna w Bolszewji.

Dziwne i niesamowite noce bywają w Bolszewji... Ich tajemnic nie zna dokładnie nawet czerezwyczajka!

Mimo, iż swym wzrokiem przebija ciemności, a uchem chwyta najlżejsze szmery! A jednak przeniknąć całego sekretu nocy nie może. Dobra, kochana, wierna nocy! Tyś jest jedna dzięki której człowiek może jeszcze istnieć — *„tam“* ..!

Historję takiej jednej nocy — nocy wigilijnej — i sekret w niej jednego człowieka opowiem poniżej:

Nad wielką, rozrzuconą po wiśniowych sadach, wsią ukraińską cicho iskrzyła się mroźna, gwiaździsta noc wigilijna.

W cerkwi „czerwony“ pop kończył solenne nabożeństwo przed niemal całkiem pustym klirosem: starzy na jego „służbę“ chodzili niechętnie, a młodzi wogóle się nie zjawiali.

Po chatach pogaszono prawie wszędzie już światło. Gdzieniegdzie jeszcze tylko dojadano wigilijne przysmaki: słodką kutję, z trudem zdobytego śledzia, oładki, łazanki....

Na krańcu wsi popod cmentarzem katolickim, zgodnie sąsiadującym z cmentarzem prawosławnym, w samotnie stojącej wśród pustego wygonu, chacie, kilkanaście bab, dzieci, dziewek i chłopów kończyło odprawianie Pasterki. Bo od czasu, gdy po pogromie dworu spłonęła przylegająca doń kaplica, tu się zbierali na nabożeństwa.

W zastępstwie rzadko zjawiającego księdza celebrował stary, jednonogi, Dionizy — specjalista we wszystkich ceremonjach kościelnych a niedościgniony mistrz w modlitwach przy umierających i rytuale pogrzebowym.

W jednym tylko gmachu gminnym jeszcze wrzało i kotłowała jak w ulu. Miejscowy oddział „Bezbożnika“ urządzał wielką fetę pod hasłem: *„Religja jest to opjum dla narodu“*. Program był urozmaicony i obfity. Odegrano więc parodję Jasełek betleemskich; wygłoszony został naukowy referat o „absurdzie“ Niepokalanego Poczęcia; odśpiewano kuplety o Trzech Królach na melodję znanej kolendy. Nie odbyło się bez żywych obrazów — apoteozy raju sowieckiego, w którym czternastoletnia Nastja z niebywałem tupetem przedstawiała „Cnotę...“ Wolnej miłości. Na zakończenie zaproszony z sąsiedniego miasteczka Komisarz wygłosił pochwałę ustroju bolszewickiego, ale takim jakimś straszliwym głosem, że najzagorzalszym zwolennikom „reżimu“ dusza, jak to mówią, poszła w pięty.

Komisarz wogóle był jakiś nie w humorze i mało nawet patrzył na scenę, palił tylko zawzięcie papierosa po papierosie. Po przedstawieniu został jednak na tańcach, a po tańcach jeszcze dobrą godzinę przesiedział, rozmawiając z nauczycielkami i miejskimi dygnitarzami, a właściwie poddając ich najbardziej wyrafinowanemu badaniu i śledzeniu. Dopiero późno w noc kazał zaprzęgać... i wszyscy odetchnęli.

Na krańcach wsi w drzwiach swej samotnej chaty stał stary Dionizy i wsłuchał się w ciszę nocną. Najmniejszy szmer nie unosił się ponad ziemią.

Było cicho i pusto wszędzie. Tylko siarczysty mróz wisiał nad rozespaną wsią. Wtem zdaleka doniósł się odgłos kopyt końskich po wyślizganej drodze i skrzyp sanek po zmarzniętym śniegu. Dionizy wrócił do chaty i zamknął szczelnie drzwi za sobą. Po chwili rozległy się różnej miarowe jęki nadpękniętej sygnaturki, uczepiony na dachu jego chaty, a którą wydzwaniał codziennie „Anioł Pański" lub żegnał jaką biedną duszę ludzką, ulatującą z tego świata. I pobiegły odgłosy dzwonu ponad wieś, ponad skuty lodem staw aż hen! do lasu dębowego, czerniejącego tam daleko na horyzoncie.

Usłyszał go i komisarz, który właśnie opuścił był gminę i wracał do siebie do powiatowego miasteczka, do którego droga wiodła właśnie popod cmentarz i chatę Dionizego.

Przejeżdżając obok niej — z nad której wciąż jęczała nadpęknięta sygnaturka — Komisarz naraz uderzył swego furmana dłonią po plecach.

— Stój! Trzebaby tak zobaczyć, czego ten stary czort po nocy dzwoni — rzekł prawie szeptem, wysiadł z sanek i wyjmując rewolwer z pochwy podszedł do drzwi. Tu się odwrócił i jeszcze cichszym szeptem rzucił w stronę furmana:

— A jeśli świsnę, to rzucaj konie i spiesz się do mnie. Rozumiesz?

— Da uż znaju! Towariszcz Komisar! — odpowiedział woźnica i jął spokojnie zapalać „papiroskę".

Komisarz pchnął drzwi. Były otwarte. Wszedł do ciemnej sieni, a z niej do izby. Owiało go ciepło od silnie rozpalonego pieca. W kącie izby stał Dionizy, ciągnąc miarowym ruchem za sznur. Na widok wchodzącego komisarza przestał nagle i wnet urwał się jęk sygnaturki na dachu.

— Chodźcie — rzekł cicho i spokojnie, wziął komisarza za rękę, podprowadził do drzwi komory i dodawszy: tu! wrócił na środek izby i klęknął.

Komisarz zdjął czapkę i cicho pomału z szacunkiem niezmiernym drzwi od komory uchyliwszy, znikł w niej jak cień. Komora była bardzo — maleńka, ciasna i bez żadnego okna — cała ślicznie na świeżo wybielona. Po środku stał prosty sosnowy stół przykryty czystym obrusem, a na nim paliły się dwie świeczki woskowe. Między niemy leżała uszyta z białej materji, a postacią przypominającą kopertę, torebka — coś w rodzaju torebki na pieniądze do noszenia na piersiach.

Komisarz padł na kolana, twarz ukrył w dłonie i nieruchomy, utonął w milczeniu. Potem podniósł głowę drżącemi rękami rozpiął guzik torebki, wyciągnął z niej płaską okrągłą, metalową puszkę, otworzył i wziął w palce cieniuchny, biały opłatek....

Wszystko to razem nie trwało dłużej niż 5 minut.... Komisarz wychodzi z chaty Dionizego, promieniejąc niewysłowionem, wewnętrznem szczęściem, pełen nowej potęgi.

— Niczewo nie było — rzucił niby zniechęconym głosem furmanowi otulił się w kożuch i siedząc w szybko mknących saniach, zapadł w dziękczynną gorącą modlitwę.

Gdy po przyjeździe do domu furman wyprzągł konie i znalazł się sam w swej komórce koło stajni, wyciągnął z cholewy buta małą książeczkę i przy świetle kiepskiej lampki zapisał do niej, że dnia 24 grudnia komisarz K., wracając z uroczystości Klubu Bezbożników w P., kazał się zatrzymać przed chatą, w której dzwonił dzwonek kościelny, że wszedł do chaty zobaczyć, co się tam dzieje, a wszystko to jakoś ogromnie podejrzanie wyglądało.

A. Zakrzewski.

Przedruk z „Pro Christo".

GWIAZDKA ALBERTYŃSKA.

W roku bieżącym mija 47 lat, kiedy w zimowy poranek na ulicach Krakowa pojawił się młody, w szarym habicie, o jednej kuli zamiast nogi mnich i wśród przekupni Małego Rynku, pl. Szczepańskiego oraz jatek „dominikańskich" żebrał o jałmużnę dla ubogich; był to dawny abiturjent inżynierji z Gandawy, artysta malarz, uczestnik powstania styczniowego Adam Chmielowski, który przywdziawszy szaty mnicha — jako Brat Albert — poświęcił swe życie na wyłączną służbę i opiekę dla najnieszczęśliwszych tj. bezdomnych i opuszczonych.

Toteż to wielkie dzieło miłosierdzia, zapoczątkowane w Krakowie, pod które położył kamień węgielny blisko pół wieku temu świątobliwy Brat Albert — owiane gorącą miłością Boga, Ojczyzny i bliźniego — poczęło niesłychanie się rozszerzać, kładąc podwaliny pod nowe czysto polskie Zgromadzenie zakonne Braci i Sióstr usługujących ubogim, zwanych od swego Założyciela Albertynami i Albertynkami. — Jak ono potrzebnem było i jest, jak pożytecznem, ile ulgi przynosi dla tych nieszczęśliwych świadczą dziś rozliczne domy i przytułki nietylko w wielkich miastach, ale nawet na rubieżach naszej Ojczyzny. —

Wiedział bowiem ten świątobliwy Mąż, że głód i nędza nie zna przestrzeni granic, ale w swej potworności wciska się wszędzie i do wszystkich, wiedział, że przed nią nie można się ukryć, dlatego przyjmując bezdomnego do przytułku —

mawiał — nie należy go pytać, czy rodził się przed czy za rogatkami miasta . . . . . .

— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —

Wśród zgiełku i walki o byt, trudu i znoju, nędzy i głodu ogarniającego coraz bardziej naszych współbraci zasiadamy do stołu wigilijnego, by z Opatrzności Bożej pełni radości i szczęścia w kole swej drogiej rodziny spożyć wigilję. Wstąpmy choć myślą przez chwilę na drogę głodu i nędzy, idźmy w progi albertyńskich przytułków do tych, którym dziś może brak czarnego chleba, którzy w poniewierce i wzgardzie, a może wśród cierni życie swe pędzą — a napewno serce żywiej zabije na widok ich nędzy, a hojna ręka rzuci dlań okruszynę ze swego biesiadnego stołu. —

Wacław Dutkiewicz.

Antoni Piotrowski.

PUŁAWY.

(Fragment ze wspomnień powstańca p. t. „Franek - Junosza").

Mało kto dziś wie, chyba jaki człowiek stary, że mieliśmy szkołę politechniczną w Puławach. Krótko ona istniała, ale zapowiadała się świetnie. Młodzież ówczesna nie miała się gdzie uczyć. Kto chciał się po skończeniu gimnazjum kształcić się dalej, musiał jechać do Petersburga albo do Kijowa.

Za rządów Wielopolskiego, na miejscu instytutu panien szlacheckich, przeniesionego do Warszawy, powstała w Puławach szkoła politechniczna.

Cała młodzież dzielna i zdolna, pragnąca wydatnie dla kraju pracować, rzuciła się do Puław z zapałem, którego my dziś zrozumieć nie możemy. Było to jakby przebudzenie się po długoletniej drzemce. Nie był to internat, gdyż uczniowie mieszkali poza zakładem.

Na kwaterach, w wolnych od nauk chwilach, nikt nie zobaczył kart ani pijatyki.. Czytano książki, uczono się fechtunku, strzelania do celu i gimnastyki. Po kwaterach całemi dniami słychać było szczęk pałaszy i huk strzałów pistoletowych, a czasem ozwała się sygnałowa trąbka. Rząd rosyjski, jak gdyby o tem nie wiedział, był głuchy i ślepy.

W takiej chwili pod wieczór przyjechał Franek. Na brzegu Wisły gromada uczniów oczekiwała na przybycie spodziewanego statku. Gdy statek przybył do pomostu, Franek ze swoją walizką wraz z kolegami których na statku spotkał od Warszawy jadących, został powitany gromkiemi okrzykami kolegów z brzegu.

— Jak się masz, Franek;

— Jak się masz, Adaś!

— Jak się macie chłopcy!

— No, dawaj walizę. Szymek, bierz to zaraz, chodźcie na kwaterę — i gromada studentów poszła ku wsi, rozmawiając głośno.

Puławskie kwatery były poprostu po większej części chałupy chłopskie. Mało która była mieszczańskim domem, gdzie lokowali się bogatsi studenci.

Kwatera do której poszedł z gromadą kolegów Franek, należała do uboższych. Była to chałupa dość obszerna o dwóch izbach, po obydwóch stronach środkowej sieni. Chałupa ta stała przy drodze, wychodzącej z Puław ku Marszowu poza ogrodem instytutu . . . jak nazywano pałac Była trochę na odludziu i przez to, choć była stara i obszarpana, dobijali się o nią studenci. Między studentami nosiła ta chałupa nazwą „kwatery głównej".

Gdy hałaśliwa gromadka doszła do kwatery głównej, rosnąc po drodze liczebnie, było już ciemno. Zapalono łojówki, obok których na tackach spoczywały szczypce do objaśniania.

Umeblowanie głównej kwatery było bardzo skromne: łóżka drewniane pod ścianami — parę wielkich, długich stołów sosnowych na krzyżakach — stołki olszowe — między dwoma oknami lewej izby półki z nieheblowanych desek, na nich stosy książek i zeszytów, trochę potłuczonych butelek i retort. Nad łóżkami wisiały maski, rękawice, floret, rapiery, ba, i pałasze ułańskie, karabele stare, torby myśliwskie i ładownice. Wyglądało to więcej na kwaterę żołnierzy, niż studentów.

Młodzież posiadała na stołkach, stołach i łóżkach, pozapalano fajki i rozpoczęła się rozmowa o tem, gdzie kto był i co widział.

Franek siedział na łóżka obok Adasia Chmielowskiego, szkolnego swego kolegi ze szkoły realnej z Warszawy. Było mu jakoś smutno Brud, nieporządek, hałas głównej kwatery po wesołym, czyściutkim domu brata, raził go niemiło. Siedział więc zasępiony, ciągnąc dym z fajki i myślał o „posadzie", którą tak niedawno porzucił. Jeszcze rano tam był, pił kawę, którą mu nalała Andzia. A teraz . . . Westchnął.

— Cóżeś taki osowiały, Franek? — spytał, go Adaś.

— Tak jakoś. Chciałbym spokoju. Głupio mi jakoś.

— No, spokoju, to tu nie będziesz miał. Tutaj się kotłuje, jak w garnku. Belfry nie wiedzą co robić i nic nie robią. Inni już głowy potracili.

— To jest najgorsze, że głowy niema. Widziałem Frankowskiego. Powiada on, że się w Warszawie tajne komitety kłócą, kto obejmie władzę, a niema wcale ludzi zdolnych, niema oficerów.

— Hej, wy tam, co za spisek we dwóch robicie? rzekł jeden ze studentów, podchodząc do Franka i Adasia. Był to małego wzrostu blondyn jasny, z twarzą dziewczyny, drobną i delikatną, w której pomimo tego pozoru, malowało się niezwykła energja.

— Ale bo to hałasujecie jak szewcy, aż uszy więdną. Słuchajno Joński, lepiej już, żeby śpiewali, aniżeli tak wrzeszczeli, każdy na swoją rękę — rzekł Adaś do małego blondyna.

— Panowie bracia; — krzyknął silnym głosem tenorowym Jońskí.
— Czego chcesz chrabąszczu? — odezwało się kilka głosów.
Joński odetchnął, spojrzał wokoło i zaczął śpiewać :

Dziś śpiewamy, jutro może . . .
Bić się będziem, co daj Boże.
Czy zwalczymy, czy zginiemy,
Zawsze sława nam !

Chór męskich głosów podchwycił meledję i śpiew potężniał coraz silniejszy i pełniejszy. Ściany izby zdawały się brzmieć, a nagromadzony dym z fajek kłębił się jakby niespokojny, poruszony potężnym oddechem kilkunastu młodych piersi. Gdy pieśń ucichła, Franek, który też śpiewał z innymi, rzekł do Adasia: — Wolałbym już być w lesie . . . niż tak czekać i czekać . . .

— Czekamy już dawno, bo dziewięćdziesiąt lat, możemy jeszcze poczekać parę miesięcy. Pilno ci widać okrutnie zażyć ołowianych pigułek — rzekł Adaś.

— Eh, co tam pigułki, o tem nie myślę, ale bić, bić, a potem mieć spokój — odrzekł poważnie Franek.

— Chodź Franku spać, jesteś zmęczony.

— — — — — — — — — — — —

Przeszedł październik, listopad, wreszcie nadeszły ferje Bożego Narodzenia. Zima zapowiadała się bardzo łagodnie, mrozy ledwo ścinały płytsze kałuże cienką warstwą lodu — żegluga na Wiśle nie ustawała.

W głównej kwaterze co dzień wieczorem było głośno

Leonard Turkowski.

„BRAT ALBERT" Leona Wyczółkowskiego.

Otoczon aureolą,
w szarej, zgrzebnej odzieży —
święty patron malarzy,
żebraków i żołnierzy.

Wśród biednych z chlebem w ręku,
w boju, okuty blachą, — —
w jasnowidzeniu malowany
święty kolega po fachu.

Djabeł nawrócił babę*).

W przytulisku dla ubogich na Kazimierzu wszyscy żyli pod znakiem świąt Bożego Narodzenia. W jednej izbie rozwalono ścianę i uzyskano wyłom na scenkę, bo Brat Albert urządzał z ubogimi jasełka. Kurtynę stanowiło płótno malarskie, na którem dawniej Brat Albert wymalował Ostatnią Wieczerzę, odpowiednio teraz przez kogoś przemalowane.**) Wszędorośli „artyści" niezwykle dumni i szczerze przedstawieniem zainteresowani, krzątają się żywo wraz z kilkoma braćmi koło zdobycia potrzebnych kostjumów, ozdobienia sali, przyjmowania gości. Niektórzy bracia wzruszali niechętnie ramionami na te „wydziwiania, komedje", i tłumaczyli Bratu Albertowi, że szkoda wszelkich zachodów, bo i tak z tego nie będzie żadnego dochodu.

Wreszcie na dany znak uniosła się wgórę kurtyna i rozpoczęło się przedstawienie. Przed oczyma uradowanych biedaków rozgrywa się cudowna historja betlejemskiej nocy. Ubóstwo, głód, zimno nie robią na nich żadnego wrażenia, bo wśród nich tkwią. Zato scena Heroda budzi sensację. Teatralny przepych, bogactwo króla ogromnie widowni imponuje i wywołuje ogólną zazdrość. Napięcie jednak wzrosło do kulminacyjnego punktu, gdy na scenie zjawia się djabeł. Krzyki, piski, a nawet szlochy towarzyszą frapującej akcji.

Po przedstawieniu do mieszkania braci przyszedł Brat Albert. Zamiast znużenia po pracy, na twarzy jego maluje się radość i dziwne zadowolenie.

— Narzekali bracia — mówił ze śmiechem — że na nic zda się cała robota, a tu tymczasem na widok jasełkowego djabła u pewnej starej pijaczki i zatwardziałej grzesznicy obudziło się sumienie i dusza przez jasełka napewno uratowana została dla nieba.

---

*) Autentyczne zdarzenie spisane według opowiadania Brata Starszego Wincentego.

**) Obecnie w posiadaniu tego płótna są Siostry Albertynki i według słów Siostry Gerardy zostało ono przyprowadzone do pierwotnego stanu.

Edward Kłoniecki.

Pewien maleńki.

Pewien maleńki płateczek śniegu,
kreśląc w powietrzu koła i zwroty —
niechcący jakby padł w swoim biegu
na pierś sieroty!

A że pierś dziecka odkryta była
(nikt w koszulinę nie oblekł nową),
śnieżysta gwiazdka wnet się zmieniła
w . . . łzę brylantową!

RORATY.

Najmilsze z chwil, co święcie
w wspomnieniach tkwią z przed laty —
są chwile, gdym w Adwencie
szedł z matką na roraty! . . .

Pamiętam: jeszcze ciemno,
a matuś z snu mię budzi
i pyta: — Pójdziesz ze mną?
. . . dzwonili już na ludzi! . . .

Zrywałem się tej chwili
no i — w pięć minut może —
jużeśmy wraz dążyli
do tej Świątyni Bożej, —

By tam, gdzie Pan nad Pany,
wsłuchać się w śpiew serdeczny,
jak huczą — w głos organy
i grają: . . . „Boże Wieczny . . .!"

Ze wszystkich chwil, co mile
wspominam wciąż z przed laty —
najmilsze mi są chwile,
gdym chodził na roraty! . .

GŁOSY

Kalisz, 13. XI. 1934 r.

Za łaskawe nadesłanie ze strony wydawnictwa szóstego numeru „Naszej Myśli“ serdeczne składam dzięki. Z wielką radością przeczytałem nadesłany numer Naszej Myśli, ciesząc się z pomyślnego i szybkiego rozwoju Zgromadzenia. Widoczne w tem widzę błogosławieństwo Boże nad Zgromadzeniem, które ożywia duch Brata Alberta.

Życząc zarówno Wydawnictwu, jak i całemu Zgromadzeniu dalszych łask Bożych, modlitwom wszystkich się polecam.

Sługa Najniższy w Chrystusie
Ks. Henryk Pydynkowski T. J.

Prześliczna myśl. Odsłonić przed światem wielką postać Brata Alberta, a da Bóg w najbliższym czasie błogosławionego i świętego Adama. Nareszcie będę miał Patrona, wyniesionego ku czci ołtarzy, bo chyba w procesie beatyfikacyjnym Brata Alberta zachowane zostanie imię, jakie Brat Albert otrzymał na chrzcie św. Bardzo o to proszę w mojem i wszystkich Adamów imieniu.

W przysłanym mi kalendarzu Brata Alberta bije tętno wielkiego serca i dzwoni zew miłości dla najbardziej opuszczonych. Niechaj świetlany wzór miłosierdzia chrześcijańskiego, jakim na dzisiejsze czasy jest Brat Albert, porywa za sobą rzesze polskich dusz.

Stojąc na czele zakładu, utrzymującego się z Opatrzności Bożej i pomocy serc ofiarnych, nie mogę inaczej, jak tylko modlitwą poprzeć dzieła zbożnego, które Czcigodny Brat prowadzi, jako następca świętego Jałmużnika Brata Alberta.

Oddany całem sercem
Ks. ADAM CIEŚLAR
dyrektor zakładu

Bądź słońcem w życiu bliźnich! *Nawojowa Góra k. Krzeszowic*

Tak bardzo cieszymy się portretem naszego patrona Brata Alberta. Bóg zapłać za niego. Dziękujemy bardzo serdecznie. Oprawiłyśmy go sobie, wisi w naszej czerwonokrzyskiej świetlicy. Nie możemy się doczekać, kiedy Brat Euzebjusz do nas przejedzie, ciekaweśmy Go zobaczyć i Jego strój taki, jaki miał Brat Albert. Gdy Brat Euzebjusz przyjedzie do nas zobaczy i dowie się co robimy i jak żyjemy. A my dowiemy się więcej o Bracie Albercie. Wobec tego dziś tylko krótko napiszemy o sobie. Jest nas w naszem Kole P. C. K. blisko 300 osób, bo należą do niego prócz nas i nasi starsi bracia, siostry a nawet Rodzice. Podzieleni jesteśmy na trzy sekcje: dzieci szkolnych, młodzieży pozaszkolnej i starszej. Każda sekcja zbiera się 2 razy w tygodniu w naszej świetlicy. Podczas zebrań bawimy się, czytamy, rozmawiamy, śmiejemy się, naradzamy się, jest nam zawsze wesoło i przyjemnie. Wysłaliśmy już 85 listów do dzieci z różnych części Polski. I jeszcze ozdabiamy papier listowy, bo będziemy pisać zagranicę. Ozdabiamy też afisze, bo codziennie je wywieszamy na naszej tablicy ogłoszeń, a czasem we wsi. Umiemy opatrywać rany, gdy się kto skaleczy w szkole albo we wsi. Umiemy opatrywać rany ze skaleczenia i oparzenia. Naszym psom opatrzyłyśmy budy na zimę, a dla ptaszków zrobiłyśmy żerowiska. Teraz mamy wciąż coś nowego i ciekawego w Kole P. C. K., to się nam nie przykszy. Uczmy się utrzymywać w czystości nasze ciało, odzież i przybory szkolne. W szkole mamy szczotki do mycia ławek i noże drewniane i szczotki do oczyszczania butów z błota. Mieliśmy św. Mikołaja w szkole. Pani Sznajdrowa z Koła Starszych P. C. K. piekła ciastka, blisko tysiąc. Młodzież pozaszkolna zrobiła stroje i przebrała się za św. Mikołaja, djabła i anioła. Chłopcy szkolni zrobili dla chłopców z I. klasy szabelki, a dziewczęta panoki dla dziewczynek. Wszystkie dostałyśmy ładne zawiniątko ciastek a niektóre dzieci najbiedniejsze dostały z Okręgu Zarządu P. C. K. ubranka. Djabeł bardzo dokazywał, dzieci piszczały z uciechy. Staramy się o sztandar czerwonokrzyski. Otrzymaliśmy list od weterana-porucznika z 1863 r. Ludwika Nowakowskiego z Chrzanowa. Przed 83 laty chodził do naszej szkoły, obiecał nam odwiedzić nas wiosną.

Do zobaczenia

Posyłamy Braciom czerwonokrzyskie pozdrowienia

DZIECI Z KOŁA P. C. K.

Z ruchu albertyńskiego.

P. Prezydent Rzeczypospolitej gościem Albertynów.

W pierwszych dniach grudnia b. r. albertyński zakład w Warszawie, przy ul. Grochowskiej 121 przeżył wielkie chwile. Były niemi uroczysta inauguracja pracy połączona z poświęceniem budynku i kaplicy, a ukoronowaniem tego wielkiego święta, była akademja poświęcona Bratu Albertowi.

W dniach poprzedzających uroczystości przybyły do Warszawy delegacje zakładów albertyńskich z Krakowa z Br. Starszym Wincentym, Br. Przeł. Henrykiem, najliczniejsza ze Lwowa z Br. Asysten. Marjanem i Br. Przeł. Dominikiem. Prócz tego przybyli ze Stanisławowa: Br. Przeł. Hipolit, z Kamionki: Br. Przeł. Tadeusz, z Krakowa: p. prof. R. Hajnos i z ramienia naszego wydawnictwa red. Figiel.

W piątek wieczorem Radjo Polskie nadało z rozgłośni warszawskiej na wszystkie stacje Polski niezwykle sympatyczną prelekcję o życiu Brata Alberta i działalności Zgromadzenia.

W niedzielę 9 grudnia dostąpił warszawski zakład, a z nim cała społeczność albertyńska niezwykłego zaszczytu. Po imponującym hołdzie, jakim uczcił świat naukowy 25-letnią działalność naukową P. Prezydenta Prof. Mościckiego, przybył on około godz. 8 mej do zakładu, by wziąść udział w skromnej, prawie domowej uroczystości poświęcenia kaplicy i budynku. U bram zakładu powitały Dostojnego Gościa dźwięki hymnu narodowego odegranego przez orkiestrę zakładową, a następnie tradycyjnym zwyczajem Br. Przeł. Anioł powitał Go chlebem i solą. Po raz pierwszy zapewne zdarzyło się Panu Prezydentowi, że zamiat wyfraczonych i ozdobionych różnemi orderami dygnitarzy witał go uśmiechnięty albertyn, w szarym, grubym habicie.

Wśród szpaleru młodzieży, wdzięcznej za wielką łaskę goszczenia w swych murach pierwszego Obywatela Polski, przeszedł P. Prezydent w otoczeniu świty do wnętrza gmachu i oprowadzany przez Braci Anioła i Józefa, przeł. t. zw. „Cyrku“ zwiedził całe urządzenie zakładu, żywo interesując się pracą Zgromadzenia. U wejścia kaplicy powitał P. Prezydenta JE. Ks. Biskup Szlagowski, zast. JE. Ks. Kardynała Ka-

kowskiego, a który następnie odprawił pierwszą Ofiarę Mszy świętej. Następnie przemawiając od ołtarza do zebranych wyraził JE. Ks. Biskup wielką radość, że w obecności Pana Prezydenta mógł dokonać wielkiego aktu ofiarowania tego miejsca modlitwie i tych, którzy z niego będą korzystać Najśw. Marji Pannie, Patronce Zakładu, która im matkę ziemską winna zastąpić. Wreszcie kończąc złożył życzenia błogosławieństwa Bożego w ciężkiej pracy nad rozwojem młodych serc i charakterów.

Po Mszy św. P. Prezydent serdecznie żegnany odjechał, a Ks. Biskup Szlagowski dokonał poświęcenia reszty budynku. Zwiedzaniem przez gości nowoczesnych urządzeń zakładu, skromnem śniadaniem, i koncertem doskonałej orkiestry zakończono pierwszą cześć obchodu, która na uczestnikach wywarła niezapomniane wrażenie.

Popołudniu o godz. 4-tej w pięknej sali warszaw. Konserwatorjum Muz. odbył się uroczysty wieczór, mający na celu zaznajomienie szerszych warstw społeczeństwa z świetlaną postacią Brata Alberta. Na bogaty program wieczoru złożyły się przemówienia, produkcje muzyczno-wokalne oraz deklamacje. P. Prof. R. Hajnos przeprowadził w swym odczycie nadzwyczaj ciekawą i głęboko pomyślaną paralelę między Bratem Albertem a św. Franciszkiem z Assyżu na tle doby obecnej, która po ogólnem ujęciu postaci przez p. mgr. Zaka, spotkała się z ogólnem uznaniem słuchaczy. „O wartościach jakie posiada dla młodzieży bohaterska postać Brata Alberta“ mówił p. Figiel b. wych. zakładu krakowskiego. Produkcje chóru świętokrzyskiego pod kier. p. Maklakiewicza, orkiestry zakładowej pod bat. p. kapelmistrza Miałkowskiego, oraz wolny koncert na organach w wyk. wych. Dydyka ze Lwowa nagradzane były żywiołowym huraganem oklasków. Na podjum, po obu stronach portretu Brata Alberta ustawiły się delegacje zakładów krakowskiego i lwowskiego ze sztandarami Na zakończenie uroczystości odbył się zjazd b. wychowanków zakładu warszawskiego z udziałem delegatów Kół B. W. A. z Krakowa i Lwowa.

Poświęcenie Kaplicy.

Podobna do warszawskiej, ale dużo skromniejsza odbyła się w dniu 16 grudnia uroczystość poświęcenia kaplicy w albertyńskim zakładzie przy ul. Tynieckiej 18. Aktu poświęcenia

ładnej kapliczki dokonał Najprzew. Ks. Prob. Symior ze Zgromadzenia X.X. Salezjanów. Podczas pierwszej Mszy św. odegrała orkiestra Zakładu zwierzynieckiego szereg utworów religijnych pod bat. p. kapelm. Atamaniuka, a wychowankowie dębniccy gremjalnie przystąpili do Sakramentów św. Kaplica jest pod wezw. Św. Franciszka z Assyżu

Porozumiewawcze posiedzenie przyszłego Komitetu sprawy beatyfikacji Brata Alberta.

W dniu 1 listopada b. r. w sali krakowskiego schroniska dla ubogich ul. Krakowska 43 odbyło się porozumiewawcze posiedzenie członków komitetu sprawy beat. Brata Alberta z udziałem Ks. Postulatora Króla, Ks. Prof. Weryńskiego, p. Mich. Janoszanki, p. dyr. R. Hajnosa, Br. Starsz. Wincentego i Braci: przeł Anioła, przeł. Dominika, Viatora oraz p. Figla.

Nawiązując do osobistych wspomnień, zagaił zebranie Ks. Postulator i skreśliwszy poszczególne fazy rozwoju ideologji Brata Alberta podziękował za intenzywną pracę na polu szerzenia jego czci p. M. Janoszance oraz Bratu Starszemu Wincentemu. Otwierając dyskusję, zaznaczył również, że powyższe zebranie należy traktować jako porozumiewawcze nad ustaleniem programu pracy i stworzeniem komitetu sprawy beatyf. którego skład zostanie ostatecznie ustalony na następnych posiedzeniach.

W dyskusji, jaka następnie się wywiązała, zabierali głos wszyscy uczestnicy zebrania, dzieląc się wzajemnie uwagami i spostrzeżeniami, odnoszącemi się do życia Brata Alberta, czy sprawy jego beatyfikacji. Wszystko to złożyło się na niezwykle ciekawą rozmowę, prowadzoną na tle osobistych wspomnień, czy poszukiwań, uzupełnioną formalnemi wyjaśnieniami w sprawie przygotowania beatyfikacji przez Ks. Postulatora Króla. Z ważniejszych omawiano sprawę wydania życiorysu dla inteligencji, odczytów, składu komitetu ścisłego, pamiątek po Bracie Albercie, domu macierzystego przy ul. Krakowskiej, pomnika, a sprawę propagandy prasowej powierzono dobrze zasłużonemu w tej dziedzinie Ks. prof. red. Weryńskiemu, przedstawicielowi K.A.P.-owej.

Naukowy Instytut Katolicki w Krakowie, ku czci Br. Alberta.

W dniu 8 bm. w sali krakowskiego N. I. K. odbyło się uroczyste posiedzenie, poświęcone chlubnej pamięci Brata Alberta. Treścią posiedzenia, w którem wzięli udział wybitni przedstawiciele duchowieństwa i świata naukowego z J,E. Księciem Metropolitą Dr. Sapiehą na czele, były referaty, oświetlając z różnych punktów widzenia życie i działalność tego wielkiego męża i jego pozycję w historji ostatnich lat XIX i pierwszych XX wieku.

O roli Brata Alberta na tle współczesnej mu epoki mówiła p. Marja Morstin-Górska, która, opierając się na nieznanych dotąd a bardzo ciekawych źródłach, przedstawiła doskonale pod względem psychologicznym ujętą sylwetkę Brata Alberta. Referat p. Morstin-Górskiej spotkał się z pełnem uznaniem słuchaczy. Następnie odczytano wspomnienia b. rektora Uniwersytetu Jagiell. dra Natansona, który dał niezwykle ciekawą charakterystykę postaci Brata Alberta. P. prof. Kleczkowski opowiedział kilka fragmentów z życia Adama Chmielowskiego, późniejszego Brata Alberta, wyjętych ze wspomnień mistrza L. Wyczółkowskiego, a z działalnością jego malarską zaznajomił zebranych p. prof. Woltyński, poświęcając temu zagadnieniu obszerne studjum. Na zakończenie przemawiał ks. rektor dr. K. Michalski, który wychodząc z założenia, że Brat Albert pochodził z kół inteligencji krakowskiej — zaznaczył, że od inteligencji krakowskiej należałoby oczekiwać jakiejś poważniejszej akcji, której chlubnym rezultatem byłoby przyspieszenie wyniesienia wielkiego rodaka na piedestał chwały Błogosławionych. Wezwał też obecnych do zbierania pamiątek po Bracie Albercie. (KAP 15 XII). —

Na fundusz beatyfikacyjny Brata Alberta złożyli:

P. Prof. Kleczkowski 20 zł. Br. Przeł. Anioł 10 zł. zamiast wieńca na grób Brata Alberta. — Z tego samego powodu Br. Przeł. Dominik 10 zł. P. Tomaszewska 5 zł. — P. G. D. wdzięczna za otrzymane łaski przez przyczynę Br. Alberta 2 zł. — P. Wiktorja Olbrycht 20 zł. — P. Stypulska Stefanja za wygranie procesu p. prz. Br. Alberta 5 zł.

Wszystkim łaskawym P. T. Ofiarodawcom składamy serdecene „Bóg zapłać" *Bracia Albertyni.*

NIHIL OBSTAT

Wydawca Br. Wincenty, Albertyn.
Za redakcję odpowiada Br. Viator. — Za administrację Figiel Władysław.

Drukarnia „Róż św. Teresy" Kraków, Batorego 6.

BRATNI ZNAK

Pismo dla młodzieży zakładów wychow br. br. Albertynów.

Bezpłatny dodatek do Nr. 1 „NASZEJ MYŚLI" z stycznia 1935 r. poświęcony Warszawiakom.

Edward Kłoniecki.

POLSKIE MORZE.

Przez wiele lat marzyłem tylko o tem,
— ażeby raz, nim zbraknie w piersiach tchnień,
polecieć w świat i na wybrzeżu złotem
choć krótki czas, choć jeden spędzić dzień! . . .

I oto dziś, dziś jawą sny się stały!
Nie tęsknę już i nie chcę lecieć wdal:
u stóp mych tuż wód bezmiar przewspaniały,
co bije w brzeg i mówi gędźbą fal!

Ach, jakim rad gdy piana biała pryska
i stado mew zapada w toni tej!
gdy widzę Cię, o morze nasze, zbliska —
i słyszę śpiew, ten smętny śpiew:

. . . „O — hej ! ! !"

Wszystkim Czytelnikom i Sympatykom dzieła Br. Alberta

składa najserdeczniejsze życzenia

Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku

ZGROMADZENIE BRACI ALBERTYNÓW

Kraków, Kościuszki 86.

Wspomnienia Bałtyku.

Wyśniony projekt wakacyj.

Już na kilka tygodni przed zakończeniem roku szkolnego nasz Brat Przełożony oznajmił nam, że chciałby urządzić wakacyjną wycieczkę do Gdyni. Myśl ta wszystkich ogromnie zajęła i spać poprostu nie dała. Pragnęliśmy z całego serca, zobaczyć na własne oczy polskie morze i dorobek narodowy w Gdyni. Gdy jednak zastanowiliśmy się nad tem, jak ciężkie są czasy i jakie koszta pociągnęłaby za sobą podobna



Zaślubiny Polski z morzem.

wycieczka, to ogarnęło nas wątpienie w możność dojścia do skutku naszego planu. Wiedzieliśmy o tem, że sam bilet przejazdu dla nas kosztował będzie około 1900 zł., a dwutygodniowy nocleg w Gdyni znowu 1000 zł., a gdzie jeszcze koszta utrzymania, wycieczki i inne? Gdynia i morze dla nas było jak coś nieziszczalnego.

Aż tu nagle jak grom z jasnego niebo, w dniu 25 czerwca rano po czterodniowej podróży przyjeżdza Brat przełożo-

ny Anioł z Gdyni, gdzie był starać się o miejsce dla nas i oznajmia, abyśmy się przygotowali i pakowali rzeczy, bo jutro jedziemy do Gdyni, by jeszcze zdążyć na święto morza i ogólno polski złot młodzieży. Teraz dopiero zakład ożył. Wszyscy weseli i uszczęśliwieni biegali i przygotowywali się do podróży. Wszyscy tylko o Gdyni i Gdyni mówili. Nie wiedzieliśmy jednak jeszcze czem pojedziemy. Brat Przełożony tymczasem jeden i drugi dzień spędził w Warszawie na ubieganiu się o możliwe zniżki kolejowe, my zaś w domu byliśmy gotowi do odjazdu. Aż tu znowu niespodzianka, bo około godziny drugiej popoł. telefonuje Brat Przełożony z miasta, by już o trzeciej wychodzić na przystań nadwiślańską, bo stamtąd statkiem odjeżdżamy do Gdyni. Znowu w zakładzie, jak w ulu, bo tylko godzina została do odejścia. Ponieważ byliśmy już ubrani i przygotowani, więc za godzinę wyruszyliśmy w drogę do przystani na Wiśle. Brat Przełożony przybył wprost z miasta na statek, przywożąc dla nas bilety, zapasy żywności, trochę gotówki na bieżące wydatki w czasie podróży i razem o godz. 5-tej odpłynęliśmy Wisłą do morza.

Jazda statkiem.

Płynęliśmy statkiem „Jagiełło". Po opuszczeniu Warszawy i ukojeniu pierwszych wzruszeń zrobił się nowy ruch na statku. Jedni szukali sobie wygodnego miejsca dla obserwacji pięknych okolic Wisły, inni znowu myszkowali za wygodnem miejscem na nocny spoczynek. Tak dopłynęliśmy do Modlina, gdzie mieszka dawny nasz kapelmistrz i tu na jego cześć odegraliśmy dwa marsze. Żałowaliśmy, że nie wiedział o naszym przyjeździe i że nie usłyszał naszej muzyki, bo napewno by wyszedł do nas.

Około godziny 8-mej niektórzy koledzy znużeni układają się do snu, lecz nie brak i takich, którzy całą noc mają zamiar niespać, a do których i ja należałem. Całą noc nie zmrużywszy oka rozmyślaliśmy o tem, co jutro zobaczymy, jak wygląda Tczew, gdzie mamy się przesiąść na większy statek, który nas zawiezie już wprost do Gdyni.

Nazajutrz rano pogoda zapowiadała się wspaniale. Niektórzy z nas spali aż do śniadania i nie wiedzieli o tem, że w nocy mieliśmy małą przygodę. Statek nasz utknął na mie-

liźnie i prawie dwie godziny musiała załoga statku pracować, by popłynął dalej. Podróż miała charakter bardzo urozmaicony, albowiem następowała ciągła zmiana przybrzeżnego krajobrazu, a przytem orkiestra nasza od czasu do czasu koncertowała. Wreszcie dopływamy do miasta, które słynie ze znakomitych pierników, a mianowicie — Torunia.

W Toruniu miałem sposobność wraz z Bratem Józefem wysiąść i trochę się po nim rozglądnąć. Miasto naogół robi przyjemne wrażenie i może się podobać, ale razi pozostałość okupacyjna: mowa niemiecka. Ładny jest tutaj kościół N. M. Panny, a zwłaszcza wewnątrz. Podobny jest nieco do kościoła marjackiego w Krakowie ze swymi stallami, wspaniałemi witrażami, rzeźbami a przedewszystkiem z majestatycznym wyglądem starej świątyni. Prócz tego zwiedziliśmy także pocztę, ratusz i oglądnęliśmy pomnik Kopernika. Brak czasu na więcej nie pozwolił.

Następny dłuższy postój wypadł nam w Fordonie, gdzie mieści się sławne więzienie dla kobiet. Fordon robi wrażenie wręcz niesympatyczne, bo gdzie tylko spojrzeć, to wszędzie znajdują się sklepy albo żydowskie albo niemieckie. Na nas, którzy nosiliśmy mundury polskiego P. W. ludność tamtejsza patrzyła z niechęcią i z nienawiścią Miasto powoli oczyszcza się z naleciałości germańskich i przybiera wygląd polski, ale dzieje się to powoli.

Resztę dnia spędziliśmy na oglądaniu nadbrzeżnych okolic i wspólnych zabawach, rozmowach, słuchaniu muzyki. Układając się do snu myśleliśmy o tem, co nam jutrzejszy dzień przyniesie.

Od Tczewa do Gdańska.

Dzień następny 29 czerwca przybliżył nas do przedostatniego etapu naszej podróży, do Tczewa. Wczas rano przybiliśmy do przystani, ale na widok portu doznaliśmy wielkiego rozczarowania. W szkole tyle nasłuchaliśmy się o Tczewie, jako o największym porcie rzecznym, tymczasem w Warszawie większe widzieliśmy. Być może że za kilka lat stanie się godnym portem rzecznym państwa, które zbudowało Gdynię. O szkole morskiej nic się nie dowiedzieliśmy ponieważ od roku już była przeniesiona do portu gdyńskiego. W Tczewie staliśmy godzinę. Skorzystali z tego bracia i z kilku chłopca-

mi poszli do kościoła, ja zaś z kilkoma kolegami pozostałem na statku celem pilnowania rzeczy. Długo to nie trwało, gdyż w parę minut po odejściu kolegów, przylatuje jeden z nich i zabiera mnie z sobą po wodę na herbatę, którą Brat Józef zamówił u pewnych zakonnic, bo na statku bardzo drogo nam liczyli.

Nieśliśmy więc około 40 litrów wrzącej wody w bańce, aż tu nagle słyszymy głos syreny naszego statku. Biegniemy co tchu, nie zważając na wylewającą się na nasze ręce wodę, by tylko zdążyć przed odejściem. — Jakąż była nasza radość, gdy okazało się, że nasz statek spokojnie stoi, a tylko witał syreną inne przejeżdżające koło niego statki.

Po śniadaniu przesiadliśmy się na inny statek „Carmen". który miał nas przewieść do Gdańska. Ten był dużo większy i mógł spokojnie pływać po pełnem morzu. Wreszcie po jakimś czasie zobaczyliśmy Gdańsk. Ciekawie odbywa się tu rewizja statków polskich przepływających przez terytorjum wolnego miasta Statek przepływa przez rampę, a ta zaraz się za nim zamyka, a równocześnie druga przed nim tak, że jest zamknięty, jak w klatce. Następnie na statek wchodzą urzędnicy celni i przeprowadzają dokładną rewizję podróżnych i bagażów oraz sprawdzają dokumenty i paszporty.

Przy rewizji naszego statku, podczas gdy urzędnik celny przeglądał dowody osobiste osób prywatnych, naszych towarzyszów podróży, orkiestra na złość Niemcom urznęła morowo marsza legjonowego. Nasza orkiestra i dziarska postawa widocznie zaimponowały niemcowi, bo tylko pogadał coś z kapitanem statku i przeszedł między nami uśmiechając się i nie przeprowadzał żadnej rewizji.

Port gdański jakkolwiek dobrze się przedstawia i w swoim czasie był pierwszorzędnym portem, teraz jest już przestarzały i niedostosowany do potrzeb obecnych czasów. Po rewizji i podniesieniu zapory nasz „Carmen" ruszył w dalszą drogę. Aby jednak dać poznać niemiaszkom, że płyną to pol skie zuchy, orkiestra nasza grała bez przerwy marsze polskie. Niejeden Niemiec zaciskał pięści i złorzeczył, ale zato Polacy czy to z brzegów, czy z okien domów powiewali do nas husteczkami radośnie i przesyłali nam pozdrowienia. My tem więcej grali, by choć tem Polskę im przypomnieć. C. d. n.